St. Maurycego; niósł na sobie ex-komendanta téjże wyspy, cztérech passażerów i może ze czterdziestu murzynów, przesyłanych na rozkaz rządu do *Port-Louis*, aby ich tam użyć do uprawy roli.

,,Ładunek okrętu składał się z bawełny. We trzy dni po odpłynieniu wybuchnął pożar, który tak nagle się rozszérzył, iż cały ekwipaż był przymuszony okręt opuścić. Biali i czarni powskakiwali w szalupę, która zaledwie 35 osób objąć mogła. Skoro tylko była pełną, i znajdujące się na niéj osoby postrzegły że zatonąć mogą, jeśli większą liczbę przypuszczą, z orężem w ręku zabroniły nieszczęsnym swoim towarzyszom wstępu. Piérwsi co opanowali szalupę, wrzucili do niéj nieco solonego mięsa, bananów i jednę owcę; z tak szczupłym zapasem żywności chcieli dostać się do lądu, który o siedmdziesiąt pięć mil geograficznych był oddalonym. Nazajutrz po tym smutnym wypadku, zaczęło się morze burzyć, każdéj chwili lękano się, że szalupa zatonie, gdyż zbytni ciężar bieg jéj wstrzymywał. Złożono radę aby postanowić, kto losem wybrany, ma być jako ofiara w morze wrzucony, dla ulżenia ciężaru. W téj chwili dwóch murzynów, niewolników Pani Mallefile, należącéj do passażerów, błagać ją zaczęli aby się nie wystawiała na traf losu, gdyż chcą umrzeć, aby jéj i dwom jéj synom życie zachować. ,,Pani, — mówili do niéj — chętnie chcemy umierać, byleby ciebie i młodych naszych paniczów uratować." Pomimo oporu który Pani Mallefile stawiła temu szlachetnemu bohatérstwu, rzucili się obaj murzyni przed nią na kolana, ucałowali jéj ręce, uściskali najczuléj dzieci, polecili się Bogu, i rzucili w morze, po którém jeszcze długo widziano ich pływających. Póki tylko mogli dojrzeć szalupę, wznosili ręce po nad wodę na znak pożegnania. Rozdziérająca ta scena rozczuliła wszystkich, co byli jéj świadkami. Jednozgodnie uradzono poprzestać losowania, i razem życie zakończyć. Gdy już zapasy żywności kończyć się zaczynały, morze uspokoiło się: każda osoba dostawała tylko jeden bananas na cały dzień.

,,Młody Mallefile, dwunastoletni chłopczyna, widząc że matka nie może uspokoić młodszego braciszka, jadł samą tylko łupinę owocu, a matce środek oddawał, sądząc że jéj sił doda do wyżywienia niemowlęcia.... Po ośmiu okropnych dniach cierpienia, gdy już wiosła wypadały ze zmordowanych rąk nieszczęśliwych rozbitków, odkryto wreście ziemię.... Gubernator wysłał statek, skoro tylko postrzegł zbliżającą się przeładowaną szalupę, i passażerowie okrętu *Sześć siostr*, tkliwym staraniom tego czcigodnego człowieka winni byli swe uratowanie."

Kapitan Warens widząc że wrażenie jakowe powieść jego uczyniła, osłabione zostało opowiadaniem Griffithsa, starał się inny kierunek nadać rozmowie.

,,Czy chcecie panowie abym wam opowiedział co to jest chiński obiad? posłuchajcie więc.

,,Chińska biesiada jest najciekawszą może rzeczą na świecie, a kto podobnie jak ja lubi ciekawe rzeczy, ten musi sobie życzyć choć raz znajdować się na chińskiéj uczcie. Jeden z najpiérwszych kupców uprzywilejowanéj kompanii w Hanisten, dawał obiad dla kilku znakomitszych osób faktoryi angielskiéj, a ja miałem szczęście być jednym z tych wybranych gości. Dom jego dał mi najlepsze wyobrażenie o mieszkaniach bogatych Chińczyków. Nie można go było właściwie nazwać domem, gdyż się składał z mnóstwa rozproszonych budynków, pomiędzy któremi ciągnęły się kwietniki i ogrody.

,,Przebywszy cały labirynt pokoi i kurytarzy, przeszedłszy rząd łękowatych arkad, zupełnie podobnych do tych, które tak często widzimy wyobrażane na chińskiéj porcelanie, dostaliśmy się nakoniec do biesiadnéj sali.

,,Znajdowało się nas piętnastu razem gości. Najpiérwszém daniem była zupa z gniazd jaskółczych, którą na małych porcellanowych miseczkach w około roznoszono. Była bardzo dobra i smaczna, i największe miała podobieństwo do rosołu z makaronem;— jednak stary Anglik uczynił tu postrzeżenie że nie mogłaby wytrzymać porównania z zupą z żółwia lub dzikich kaczek.

,,Było dwadzieścia dań, i półmisków bez liku; narachowałem szesnaście od razu na stół postawionych.

,,Były to małe czarki, na środku stołu we trzy rzędy ustawiane. Uwiadomiono nas, (lecz sam nie wiem jak daleko uwiadomienie to było prawdziwém), że mamy szczęście być uraczeni smażonémi gołębimi jajami, pieczenią z dzikiego kota, frykasem z żabek, potrawką z pewnego gatunku zasuszonych robaków, które szczególniéj na wety, przy winie, ulubionym są przysmakiem, potrawą ze skrzeli rekina, i mnóstwem podobnych łakoci, którym nasze europejskie przesądy może by wcale przeciwne nadały miano. Lecz z jakich bądź kolwiek rzeczy mogły się potrawy te składać, filiżanka japońskiéj soi, to jest essencyi stonogowéj, najlepszéj jaką kie-

dykolwiek piłem, niewymownego dodała im smaku.

„Wszystko, mięsiwo, bażanty, kuropatwy, zwierzyna, było drobniutko posiekane i podawane na małych miseczkach, tak iż zrazu jedzenie tych przysmaków nie łatwą dla nas było rzeczą, gdyż nam zamiast noża i widelca, dano maleńkie prąciki z kości słoniowéj w srébro oprawne. Przez piérwsze pół godziny zwątpiłem już, że choć odrobinę tych smakowitych potraw doniosę do mojego niecierpliwego podniebienia. Lecz nagle, jak gdyby przez natchnienie jakowe, odkryłem sposób używania tych ciekawych narzędzi, i nakoniec do takiéj przyszedłem zręczności, że najmniejsza odrobina nie mogła ujść przed mojemi prątkami.

„Wszystkie potrawy są nadzwyczaj tłuste, i trzeba koniecznie pić jak najwięcéj Sei-Hingu, pewnego gatunku wina, czyli białego spirytusowego płynu, którego smak dosyć jest przyjemny. Maleńkie filiżanki z których się to wino pije, są prawie téj wielkości co filiżaneczki w dziecinnych gospodarstwach. Ceremonia wznoszenia toastu za czyje zdrowie na tém zależy, aby wziąść filiżankę obu rękoma, pozostać niejakiś czas obróconym ku osobie do któréj się pije, kiwając i kręcąc głową; potém wypić wino, i pokazać przyjacielowi spód filiżanki, aby był przekonanym że nic w niéj nie pozostało. Etykieta wymaga żądać od przyjaciół odwetu. Pu-Ki-Kua liczne wznosił toasty, na któreśmy mu uprzejmie odpowiadali: piliśmy za powodzenie króla angielskiego, indyjskiéj kompanii, faktoryi, Hanistoskich kupców, i naszego grzecznego gospodarza."

—„Nie biesiadowałem wprawdzie z Chińczykami,—uczyniłem nieśmiało uwagę,—lecz widziałem ich jedzących."

—„A do czarta!"—rzekł kapitan, rzucając na młodzieńczą moję twarz powątpiéwające spojrzenie, w którém także przebijało zarozumienie o własnéj godności.

—„Widziałem ich w Calais, przed pięcią laty—mówiłem daléj.— Miałem wracać do rodziny po długiéj podróży na stałym lądzie, gdy przybyło do téj francuzkiéj przystani cztérech młodych Chińczyków, Józef i Maciéj Lie, Franciszek Chue i Jan Chrzciciel Then, którzy pragnęli ćwiczyć się we Francyi w sztukach europejskich. Polecono ich pewnemu duchownemu, z którym się dosyć płynnie w łacińskim języku rozmówić mogli.

„Wyjąwszy jednego, który był mały i bardzo brzydki, młodzianie ci dosyć mieli przyjemną powierzchowność, a oczy ich wiele uprzejmości i dowcipu wykrywały.

„Szczególne i uderzające ich ułożenie zwróciło koniecznie na siebie powszechną uwagę.

„Nie nosili brody, a włosy ich gładko na wiérzchu głowy zebrane, spadały w długi aż do stóp warkocz. Mieli białe jedwabne pończochy, krótkie jasno-błękitne suknie, z szérokiémi rękawami, z pod których wyglądały széroko założone białe mankiety; prócz tego mieli jeszcze długą czarną szatę, z mosiężnemi guzikami. Przykrycie głowy składało się z małéj czarnéj czapeczki, podobnéj kształtem do czółna, i z wielkiego, jasno-błękitnego kapturka, u którego była złota gałka i kutas z czerwonego jedwabiu.

„Mówili dobrze po łacinie, i z każdym mogli się w tym języku rozmówić. Jeśli czego nie mogli zrozumieć, pytali wyraźnie: *quomodo?* (co?), lub *non intelligo*, (nie rozumiem); jeśli im kto jakową grzeczność powiedział, odpowiadali najuprzejmiéj, kładąc rękę na sercu: *gratias tibi, domine* (dziękuję Panu.)

„U stołu jedli lewą ręką, a że nigdy jabłek jeszcze nie widzieli, w wielkim byli kłopocie, gdy je przed nimi zastawiono, jak je będą obiérać.

„Nazajutrz po swojém przybyciu, słuchali pobożnie mszy w kościele; w jednéj ręce mieli różaniec, a w drugiéj chińską książkę, któréj karty od lewéj do prawéj ręki przewracali, zupełnie przeciwnie jak my czynimy.

„Zwiedzili potém kilka rękodzielni, i udali się do ratusza, gdzie spisano protokół z ich odwiedzin, który chińskiemi literami podpisali.

„Ztamtąd udali się do Amiens."

—„Młodzieńcze— przerwał kapitan,—kiedyś Chińczyków widział w Europie?— i do słów tych dodał skinienie, własną jego oznaczające wartość,— powiedz, widziałżeś też w niéj korsarzy?"

—„Nie, kapitanie."

—„No, to posłuchaj co wam opowiem, a potém przyznaj czy podobnych ludzi można kiedy w Calais zobaczyć.

„Duński bryg, *Anna*, pod dowództwem kapitana Holl, znajdował się w październiku, roku zeszłego, w Bahia (w Brezylii), 20 tegoż miesiąca, miał wypłynąć do Fernambuku, aby tam ładunek uzupełnić i wrócić potém do Europy. Około południa, odwiedził kapitana Holl na okręcie jakowyś człowiek, dosyć wyszarzanym płaszczem owinięty, i prosił o użyczenie chwili tajemnéj rozmowy. Kapitan rozkazał odejść majtkom, i zmusił nieznajomego aby obok niego usiadł: ów, po

kilku uprzejmych wyrazach, uwiadomił go w następny sposób o celu swego przybycia: Jestem Florentczyk i nazywam się Zernetti; od dwóch miesięcy pokazuję w Bahia gabinet figur woskowych; ale nie najlepiéj idą mi w tém mieście interesa. Zrobiłem nieco długów, z których na teraz nie jestem w możności uiścić się. Życzyłbym sobie udać się do Fernambuku, gdzie mam nadzieję zarobić dużo pieniędzy, i zaspokoić niemi moich wierzycieli w Bahia. Ci Brazylijczykowie są nieubłagani: nadaremnie dawałbym im słowo honoru, że im ich należytość przyślę z Fernambuku; nieuwierzyliby mi, i już mnie nawet ostrzeżono, że mi chcą zabrać jutro mój gabinet. Aby uniknąć téj nieprzyjemności, postanowiłem ujść potajemnie; pański okręt ma jutro przed świtem rozwinąć żagle; przyrzekam panu sowitą nagrodę za przybyciem moim do Fernambuku, jeśli mi wyświadczysz tę przysługę, i przyjmiesz na swój okręt, skoro tylko noc zapadać zacznie, moje pięć skrzyń z woskowemi figurami, które będę już miał na pogotowiu, a które obejdą się bez żadnego na komorze przepatrywania, gdyż jeden ze strażników przystani jest moim ziomkiem, i starać się będzie wszelkiemi sposoby ucieczkę moję ułatwić.

,,Po krótkim namyśle, nad którym przebiegły Florentczyk bez wielkiéj pracy odniósł tryumf, zezwolił Duński kapitan na przyjęcie jego wraz z gabinetem. Natychmiast upatrzono dla niego dogodne miejsce, i wieczorem już woskowe figury były na brygu. Nazajutrz o dziewiątéj zrana podniesiono kotwicę, i statek przy dobrym wietrze puścił się ku miejscu swego przeznaczenia. Piérwszego dnia nic osobliwego nie wydarzyło się na okręcie. Florentczyk poufale rozmawiał z majtkami, zręcznie wywiadywał się o wartości ładunku, i często schodził na spód okrętu, aby się upewnić, jak mówił, czy jego woskowe figury nie ucierpiały jakowego uszkodzenia. Około wieczora to ciągłe przechodzenie się Florentczyka, obudziło niejakie podejrzenie, lecz jednak nie przywiązywano doń wielkiéj wagi. I czegóż w istocie miało się lękać dziesięciu silnych i zbrojnych żeglarzy, od jednego, i to jeszcze bezbronnego człowieka? O północy, gdy cały ekwipaż w śnie był pogrążony, stojący na straży posłyszał niezmierny hałas na dnie okrętu; chciał uwiadomić o tém kapitana, lecz już czasu nie było; gdyż pośród tego łoskotu rozróżnił głos samegoż kapitana, o pomoc wołającego. Nim miano czas rozpoznać się i zgromadzić, ujrzano dwunastu ludzi jak najmocniéj uzbrojonych, wpadających na pomost, obalając i siekąc wszystko co im stawało na drodze. W krótkim czasie opanowali statek; kapitan, porucznik, dwóch majtków i sternik, utracili życie w tém okropném zamięszaniu, i zwłoki ich do morza wrzucono. Chłopiec okrętowy i drugi majtek, który także niespał, korzystając z powszechnego nieładu, wskoczyli w czółno, i za pomocą wioseł oddalili się od statku, bez zapasu żywności, bez kompasu, powierzając jedynie trafowi przyszłość swoję. Los nie był im jednak nieprzyjaźnym; dostali się do brzegów Brazylii, i uwiadomili konsula swego narodu, o przypadku którego naocznémi byli świadkami. Z późniejszych śledzeń wykryło się, że mniemany Florentczyk był morskim rozbójnikiem, którego okręt rozbił się o skały nadbrzeżne; że się wyratował z szesnastą swoich ludzi, że mniemane paki z woskowemi figurami, ukrywały jego zbójców, i że dla tego w nocy kazał je zanieść na okręt,aby uszły baczności ciekawych oczu."

—,,Słowem,—odezwał się stary Toby, który dotąd jeszcze nic nie mówił i tylko przysłuchiwał się paląc fajkę—słowem, był to tylko korsarski figielek. Widziałem ja widowisko daleko bardziéj zajmujące.

,,W listopadzie byłem na okręcie *Fretty;* płynęliśmy z wyspy Magdaleny i zarzucili kotwicę przy Antiskoli. Udałem się do chaty, którą nieopodal od brzegu postrzegłem. Wyobraźcie sobie moje zadziwienie, mój przestrach, gdym wszedł do niéj!

,,Cała chata była zapełniona kościotrupami mężczyzn, niewiast i dzieci, rozmaitego wieku, którzy musieli kiedyś składać ekwipaż jakowego rozbitego statku. Umarły mężczyzna leżał jeszcze w hamaku, w którym oddał ducha, a na miejscu gdzie było ognisko, stał garnek pełny przegniłego ludzkiego ciała. W drugiéj izbie leżało porządkiem kilka trupów, i jak się zdaje z nich to wyrzynano mięso, na codzienne utrzymanie tych co przy życiu pozostali. Znalazłem kobiéce i dziecinne ubiory, świadczące że te ofiary głodu i rozpaczy wysokiego stanu być musiały. Były tam także kosztowne przedmioty, pierścienie, zegarki, niezmierna kwota pieniędzy, oraz papiery należące do passażerów, i mogące udzielić wiadomości o rozbitym statku; lecz do czasu mego wyjazdu do Kwebeku niczego się jeszcze nie dowiedziano."

—,,I to wszystko?"—spytał Griffiths szyderczym tonem, wychyliwszy piérwéj trzykrotnie swoję szklankę podczas opowiadania Tobego.

—,,Albož to nie dość?"— spytał Toby z wyzywającą miną.

—„Słyszałem o rozbiciu, które niemniéj było zajmującém, — odezwałem się prędko, aby ukończyć sprzeczkę i zapobiedz kłótni. — Tém bardziéj jest osobliwe, że podróż odbywała się na kawale kry!"

—„Na kawale kry!

—„Tak jest moi panowie, a dziennik w którym to czytałem tak rzecz opowiada....

—„Ho! ho! dziennikowa powiastka! — zawołał pogardliwie Toby.

—„Dziennikowa powiastka! — powtórzył Griffiths tymże samym tonem.

—„Kapitanie Warens,— zawołał gospodarz kawiarni, — czy dzisiaj spać nie pójdziemy?"

—„Oto stary ma najlepszą słuszność. Daléj, jeszcze po szklenicy ponczu, i dobra noc."

ZDANIE WALTER-SKOTTA O PIEŚNIACH OSSYANA.

Poezya Ossyana ma więcéj powabu dla młodzieży niżeli dla dojrzalszego wieku. Wiekuiste powtarzanie jednych i tych samych myśli i obrazów, chociażby najpiękniéjszémi były, nudzi nakoniec czytelnika, którego smak stał się nieco trudniejszym do zaspokojenia. Lecz gdybym im nawet przypisywał największą wartość, tedy wątpliwość ich pochodzenia psuje największe uczucie jakie z prawdy wynika, i podziwienie, które koniecznie wzbudzićby musiały jako płód tak odległéj i barbarzyńskiéj starożytności.

Co się zaś dotycze wielkiego sporu, czy poezye te do Szkocyi czy Irlandyi należą, chybabym nie był Szkotem, gdybym przedmiotowi temu nie poświęcił długiego czasu, usilnych starań i całéj mojéj zdolności; dosyć daleko zaszedłem nawet w moich badaniach, gdyż posiadam tłómaczenia trzydziestu blisko niezaprzeczonych oryginałów Ossyanowych pieśni. Chociażbym zwrócił na to nawet uwagę, że zgromadzone owe pozostałe szczątki znacznie ucierpiały przez tak długie wieki z ust do ust przechodząc, i w słowném tłómaczeniu wiele z wdzięku swego straciły, wyznać jednak muszę, że większa część angielskiego Ossyana jest całkiem dziełem Makphersona, a wszystkie przypisy i tym podobne dodatki, ciągłém pasmem samych fałszów.

We wszystkich balladach, które mi pod wzrok lub słuch kiedykolwiek podpadły, Fin (gal) i Ossyan, zawsze są wyobrażani jako Irlandczykowie, chociaż prawiący te wiérsze nieraz uporczywie utrzymują, że to jest tylko zepsuciem tekstu. Co się zaś tycze ich wartości, nie zdaje mi się aby te Gaelickie śpiewy lepsze miały być od pieśni Skandynawskich Skaldów; są bardzo nierówne, niekiedy pełne mocy i wyrazu, niekiedy znowu nadzwyczaj slabe i rozprzęgłe. Obyczaje bohatérów są obyczajami dzikich Celtów, i dwadzieścia przykładów mógłbym przytoczyć, w których Makpherson zręcznie ze starych opowiadań pobrał imiona, początek i główniejsze wypadki, i przystroił je całym owym urokiem sentymentalności, który zrazu nasze podziwienie, a potém powątpiewanie o ich rzetelności obudził. Górale, poznawszy główne rysy powieści, którą słyszeli w dzieciństwie, znalazłszy tu i owdzie prawdziwie ze staréj pieśni wyjęty ustęp, łatwo się dali uwieść, i potwierdzili ich autentyczność. Tak wiele osób, mało z poezyą obeznanych, słysząc od piastunki lub w szkole, balladę o Szewiockich łowach, która potém na długo im z oczu znikła, łatwoby się zwieść dało nową balladą, zupełnie do dawnéj niepodobną, lecz mającą gdzie niegdzie taki sam wiérsz, lub w taki sam sposób opisany wypadek. Jest zresztą podobno nieco prawdy w tém mniemaniu o moich współziomkach: „Jeśli Szkoci nie cenią wyżéj Szkocyę niżli prawdę, to pewnie wyżéj niżeli wybadanie téjże prawdy." Skoro Szkoci raz przyjęli pieśni Ossyana jako artykuł wiary narodowéj, łatwiéj by ich można było przywieść do zaprzeczenia Biblii, niżeli wyrzeczenia się choć jednego wiérsza tych uświęconych powieści. Utrzymywali jedynie, że tłómaczenie Makphersona bardzo jest niewiernem; niektórzy nawet czynili uwagę, że niższe daleko od oryginału, chociażby przez to samo już tylko, że jest pozbawione uroku rymów i przyrodzonéj mowy, tak bardzo Gaelom upodobanych; bo co się dotycze prawdziwych poetyckich własności, tłómaczenie Makphersona daleko jest wyższém od wszelkich ułamków, których jak się zdaje użył na utworzenie swojego dzieła.

W późniejszym czasie, góralskie towarzystwo, wiele sobie zadało pracy, w zgromadzaniu materyałów, mogących udowodnić autentyczność Ossyana; badania te dowiodły, iż nie dały się wynaleść żadne prawdziwe oryginały — biorąc ten wyraz w przyjętém znaczeniu. Najdawniejsza powieść którą znaleziono jest o Dartuli, różni się jednakże całkiem, wyrażeniem i głównym przedmiotem od poematu Makphersona, jest pomimo tego zawsze piękną próbą Celtyckiego rymotwórstwa, i dowodzi, że rymotwórstwo to wiele w sobie zawiéra rzeczy godnych zachowania. I jakżeby inaczéj być mogło, kiedy wiemy że przed laty

trzydziestą żył jeszcze w górach ród dziedzicznych Bardów? Czyż nie można przypuścić, że pomiędzy tylu ich stami, co od lat tysiąca dobijali się sławy, tak znakomite miejsce zajmowali w towarzystwie, co całą swoję zdolność poetycką jednéj tylko poświęcali krainie, któréj sceny i obyczaje tyle zachwycających obrazów pomysłom ich dostarczały, czyż nie można przypuścić, że znalazło się choć kilku, których utwory napiętnowane być mogły cechą geniuszu?

NOWE DZIEŁA
W WILNIE WYCHODZĄCE.

1. Dzieł Jana Chodźki, znanego z bardzo dobrego pisma *Pan Jan ze Świsłoczy*, już trzy tomiki wyszły z drukarni Marcinowskiego. Są między niémi prócz tego, różne sztuki teatralne oryginalne i tłómaczone, oraz powieści.

2. Drugi tom *Dziejów Narodu Litewskiego* Teodora Narbutta. Trzynastego arkusza druk już skończony także u Marcinowskiego, a obszerność całego tomu dojdzie zapewne 40 arkuszy, bo autor z wielkimi szczegółami wywodzi poruszenia i migracye narodów, przed zjawieniem się w historyi Litewskiego plemienia. Następujące dwa tomy już są ukończone, całe zaś to dzieło tak pracowite i zajmujące, może nawet do siedmiu tomów będzie rozciągnięte.

W ogólności mówiąc, przyznać wypada, że prassy Pana Antoniego Marcinowskiego, tylu dzieł pożytecznych gorliwemu wydawcy, są równie czynne jak liczne, a sama drukarnia wybornie urządzona.

3. U Józefa Zawadzkiego prócz pięknéj edycyi świéżo wyszłego dzieła professora akademii medycznéj P. Józefa Mianowskiego „*O złamaniach kości*", o którém daliśmy wiadomość w Nrze 27 Magazynu Powsz.; prócz ciągle wydających się *Wizerunków*, zaczął się teraz druk dzieła P. Józefa Kraszewskiego o Wilnie, którego już dwa arkusze odbito. Wydawcą jest P. Krzeczkowski. Dzieje tego miasta i starożytności jego zawarte bydź mają w 4ch do 6ściu tomach. Nienależy wątpić o pięknem wydaniu, bo druki P. Zawadzkiego pod względem elegancyi nowych typów w guście angielskim, i najściślejszéj korrekty, piérwsze trzymają miejsce.

4. Wkrótce taż sama drukarnia zajmie się wydaniem, dawno pożądanego wyboru przedniejszych artykułów z *Brukowych Wiadomości*, niegdyś przez Towarzystwo Szubrawskie tak dowcipnie pisanych. Dzieło to ma nosić tytuł: *Szubrawiana*, i z trzech tomów ciekawemi winietami i stosownemi rycinami ozdobnych będzie złożone. Piérwszy tom obejmie same tylko wzorowe pisma byłego prezydenta Szubrawskiego Towarzystwa, Sotwarosa *(Jędrzeja Śniadeckiego)*, zalecające się nieporównanym wdziękiem stylu i najsubtelniejszym dowcipem satyrycznym. Wydawcą tego niecierpliwie oczekiwanego dzieła jest uczony pisarz i znamienity poeta Ignacy Szydłowski, który był jednym z tych co się najwięcéj do sławy Szubrawców przyczynili. Śliczne jego ody, pełne filozoficznych myśli i prawdziwie poetyckich uniesień, z dodatkiem kilku innych wiérszy czytanych na schadzkach Szubrawskich, złożą tom trzeci Szubrawiany, bo w drugim celniejsze artykuły z całych Brukowych Wiadomości wybrane, będą umieszczone. Druk zacznie się niebawnie, i tém skwapliwiéj im większa jest obawa, żeby inny jaki czynny przedsiębierca nieuprzedził P. Zawadzkiego, w zaspokojeniu pod tym względem żądań czytającéj publiczności, która z takiem upragnieniem na to oddawna oczekuje.

5. *Poezye Michała Jezierskiego*, tom jeden in 8vo str. 114, także u Zawadzkiego. Nieznamy jeszcze płodów tego nowego gościa na Parnasie polskim.

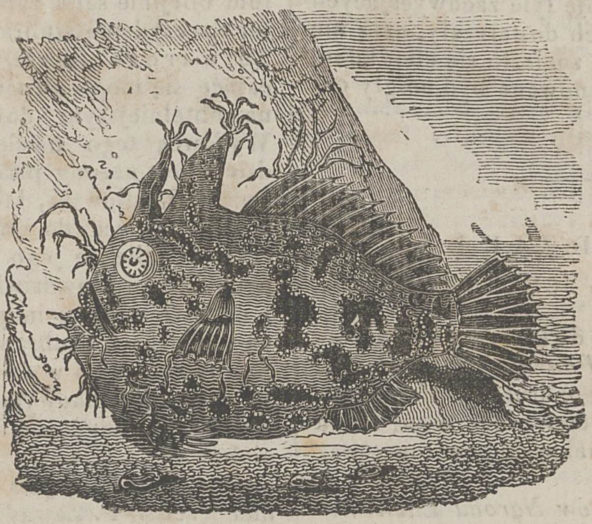
6. *O domowém wyrabianiu i rafinowaniu cukru z buraków, oraz o uprawie buraków w Litwie.* 8vo str. 60, z téjże drukarni, książka pożyteczna w obecnym czasie w którym wszyscy chcąc pijać herbatę przynajmniéj, jeśli i nie kawę, z europejskim a nawet swoim prowincyonalnym cukrem, odrzucając od ust z niewdzięcznością spowszedniałą już słodycz trzciny cukrowéj.

7. Drukarnie pp. Starozakonnych utrzymywane w Wilnie podobnież są w ruchu. U Romma wyszła *Metoda uczenia P. Jacotot, rozwinięta i objaśniona przez Karola Klaud. Wiśniewskiego Dra Medycyny* in 12. str. 79. U Manesa i Zymela *Pan Sędzia, powieść przez M. L. Z.* in 12. str. 82; prócz innych ksiąg o jakich wspomnieliśmy w poprzedzających numerach Magazynu.

8. Nakoniec głośna teraz na literackim świecie całéj Europy „*Metoda uczenia chronologii Jaźwińskiego*" o któréj obszerna wiadomość umieszczona jest w *Magazynie Powszechnym* roku 1836, znalazła i w naszym języku wybornego tłómacza w osobie

jednego z uczonych professorów wileńskich, który mimo wielkich zatrudnień do powołania nauczycielskiego przywiązanych, wszystkie chwile, odpoczynku nawet, poświęca czytaniu i pracom piśmiennym w przedmiocie geografii, historyi i pedagogii, i któremu winniśmy przekład pism Szlecera, Bredowa i liczne artykuły w Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych.

M.



DZIWOTWÓR KĘPIASTY (*Antennarius histrio.*)

Rodzaj ryb zwanych Dziwotworami *(Antennarius)* uważany pod względem swojego kształtu, należy bezwątpienia do najdziwniejszych stworzeń morze zamieszkujących. Mieści się on w poddziale ryb *chrząstkowatych (Cartilaginei)*, to jest takich, które chrząstkowatym szkieletem w miejscu kościstego są opatrzone: w tym zaś poddziale badacze przyrodzenia odnoszą go do rzędu ryb *dwuszparowych* (Chismopnei), mających z obu boków głowy zamiast wyraźnych skrzel do oddychania, po jednéj tylko wązkiéj szparze.

Ryby tego rodzaju, liczącego w sobie około dziesięciu gatunków (z których jeden zwany *Dziwotworem kępiastym*, *Antennarius histrio*, wyobraża rycina), mieszkańcami są mórz pod strefą gorącą położonych; dorastają pomiernéj wielkości, postać zaś mają dziwaczną i odrażającą: jakoż głowa ich jest mierna i ściśniona, na wierzchu wysokiémi, dziwnego kształtu wyrostami, przystrojona; otwór paszczy prawie pionowo w górę podany; szczęka dolna dłuższa, ku wierzchowi zagięta, wąsami krótkiémi nastrzępiona. Ciało mają wysokie ściśnione, nagą skórą pokryte; brzuch rozdymalny, płetwę ogonową széroką. Wyżéj wzmiankowane na głowie wyrosty, jako też spodnia szczęka i boki ciała, licznémi ruchoméni strzępkami są opatrzone: wyrostki te, mające kształt robakowaty, dowolnie przez dziwotwora poruszane, zwabiają ku niemu mnóstwo drobnych rybek i innych zwierząt morskich, które łudzącą przynętą zwiedzione, same się stają jego żarłoczności pastwą; albowiem dziwotwory są nadzwyczaj drapieżne i żarłoczne. U wszystkich ryb tego rodzaju, płetwy piersiowe i brzuchowe podobniejsze są nogom zwierząt ssących *ziemnowodnych* aniżeli właściwym płetwom rybim. Za ich pomocą dziwotwory często wyłażą na pobrzeża, a przy sposobności dość zręcznego pełzania po suchéj ziemi, mogą jeszcze po trzy dni bez wody wytrzymywać. Przytém, posiadają jeszcze inną własność, to jest, mogą się dowolnie podnosić na powierzchnią wody, albo też na dno morza opadać: w czém usługuje im pęcherz do pływania, znacznie wielki, w obszernéj klatce brzuchowéj umieszczony, który wydąwszy powietrzem, gdy objętość swego ciała znacznie powiększą, na wzór bani po powierzchni wody się unoszą; przeciwnie zaś wypuściwszy powietrze, gdy go ścisną, na dno morskie opadają. O sposobie ich rozmnażania się nic dotąd pewnego powiedzieć niemożna, albowiem większa ich liczba niedawno jeszcze odkrytą została.

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKOŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482